Helena Derwich z domu Ćwirko
Montreal – Kanada

Moje dzieciństwo

Osada wojskowa Kuchczyce – nowogródczyzna, pow. Nieświerz

Rodzice moi, Maria i Józef Ćwirko przybyli do osady Kuchczyce z Kaczanowicz koło Nieświeża, położonych tuż obok pasa przygranicznego z Rosją Sowiecką. Kiedy jako dzieci jeździliśmy do Kaczanowicz, widzieliśmy żołnierzy sowieckich i psy straży granicznej. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak wielkie niebezpieczeństwo zagraża nam z tej strony.

Osada położona była na południowy zachód od Klecka, od którego oddziela ją rzeka Łań. Rzeka przepływała u stóp osady i była nie tylko malowniczym elementem krajobrazu, ale także ulubionym miejscem zabaw i kąpieli. W noc świętojańską puszczaliśmy na niej tradycyjne wianki z palącymi się świeczkami, których płomyki zwielokrotnione odbiciami w wodzie migotały na rzece do późnej nocy.

Był też w pobliżu osady las. Nazywał się Starzyna. Nie wiem z czego wywodziła się jego nazwa, ale także był dla nas ulubionym miejscem zabaw i spacerów. Las był mieszany i poprzerywany licznymi polanami.

Do Klecka, położonego około dwa kilometry od osady, wiódł trakt, który przebiegał przez most na rzece. W odwrotnym kierunku trakt prowadził do Siniawki. Tereny tamtejsze były raczej równinne, ale malownicze, z łąkami nadrzecznymi, ukwieconymi kolorowo. Ziemia uprawna była gatunkowo dobra.

Ambicją, każdego z osadników była nie tylko jak najwydatniejsza uprawa ziemi, ale także nadawanie swojemu gospodarstwu jak najlepszego wyglądu. Ta spontaniczna rywalizacja była nie tylko wyrazem przywiązania do nadanej ziemi, ale takie wdzięczności. Było też w tym aktywnym i pionierskim zagospodarowywaniu wiele patriotycznego porywu, który tkwił mocno w każdym z nas, zrodzony w żołnierskiej, wyzwoleńczej służbie naszych ojców. Bliskość granicy z sowiecką Rosją tym więcej podsycała naszą osadniczą aktywność, jak też patriotycznego ducha.

Nowe zabudowania gospodarcze wyrastały jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Pomnażał się inwentarz i z każdym rokiem życie nasze stawało się łatwiejsze, mimo wielu jeszcze niedostatków. Razem z rozwojem upraw rozwijało się także sadownictwo i hodowla zwierząt domowych. Jabłka były dorodne, dobre gatunkowo i dawały się

przechowywać aż do wiosny. Były też wiśnie, czereśnie, śliwki i inne owoce. Wszystko to razem ze zbożem i innymi uprawami wywożone było na targ do pobliskiego Klecka.

Targi w Klecku odbywały się dwa razy w tygodniu i ściągały niemal wszystkich z miasteczka i jego okolic. Kleck liczył około pięciu tysięcy mieszkańców, z których większość stanowili Żydzi, zajmujący się przeważnie handlem. Było też sporo Tatarów i Białorusinów. Posiadał więc Kleck nie tylko stary i zabytkowy kościół ze śladami kul armatnich jeszcze z najazdów szwedzkich, ale także synagogę, dwie cerkwie i meczet. Mimo tej różnorodności wyznań i mniejszości narodowych życie w Klecku układało się harmonijnie i spokojnie. Kuźnią nie tylko wiedzy, ale także przyszłego, zgodnego współżycia była siedmioklasowa szkoła powszechna, do której uczęszczało około siedmiuset uczniów wszystkich mniejszości narodowych i wyznań. Do szkoły tej uczęszczałam także ja z siostrą Ireną i najmłodszym z nas, bratem Henrykiem.

Szkoła mieściła się obok zabytkowego kościoła. Budynek był drewniany, parterowy. Posiadał jednak salę gimnastyczną wyposażoną w sprzęt i był na tyle duży, że mieścił wszystkich uczniów w oddzielnych klasach. Przy szkole znajdowała się plac, miejsce zabaw i gier w przerwach miedzylekcyjnych. Ciekawy i zabytkowy rynek w Klecku usytuowany był w środku miasta i miał kształt prostokąta, z którego rozchodziły się ulice będące przedłużeniem jego boków. Był też w rynku duży plac, na którym odbywały się targi.

Po przeciwnej, niż Kuchczyce stronie Klecka stacjonowała jednostka Korpusu Ochrony Pogranicza. Niezbyt duża ta jednostka wnosiła jednak bardzo wiele w życie mieszkańców Klecka i Kuchczyc. Wojsko nadawało ton wszystkim uroczystościom i imprezom, a jego obecność zapewniała nam poczucie bezpieczeństwa. W każdą niedzielę wojsko maszerowało do kościoła w odświętnej gali z orkiestrą na czele, na mszę św. o godzinie dziewiątej. Była to także msza św. dla młodzieży szkolnej. Wojsko ze swoją orkiestrą było dla nas wszystkich wielką atrakcją.

Jedną z dorocznych atrakcji były też dożynki organizowane w Klecku. Święto organizowano z dużym rozmachem i brała w nim udział cała okoliczna ludność, wszystkie organizacje, młodzież szkolna, no i oczywiście wojsko ze swoją orkiestrą. Przygotowania do dożynek rozpoczynały się już na kilka tygodni przed ich terminem. Obok tradycyjnych, pięknie ułożonych okazów plonów odbywały się oficjalne wystąpienia oraz rozmaite pokazy i zabawy. Młodzież szkolna popisywała się śpiewem, zbiorowymi

i solowymi deklamacjami i tańcami. Nagradzano nasze występy rzęsistymi oklaskami. Były też pokazy organizowane przez Krakusów, czyli członków konnego przysposobienia wojskowego, którzy popisywali się zręcznością i opanowaniem sztuki jeździeckiej.

Dożynki były nie tylko okazją do zabawy i rozrywki, oficjalnych wystąpień, nagród dla wyróżniających się w gospodarowaniu i społecznej aktywności. Świętowaliśmy wszyscy, niezależnie od wieku oraz etnicznej czy wyznaniowej przynależności.

Dożynki były świętem o wyjątkowym charakterze. Nie była to jednak impreza jedyna. Uroczyście obchodzone były także wszystkie rocznice oraz święta narodowe i kościelne. Zawsze brało w nich udział wojsko, młodzież szkolna, wszelkie organizacje no i oczywiście cała niemal okoliczna ludność.

Życie samej osady koncentrowało się głównie wokół gospodarowania, ale nie tylko. Organizowaliśmy się także społecznie. Było przedszkole, mieszczące się w domu jednego z gospodarzy. Dla pracujących w polu, których czas pracy regulowany był potrzebami i wymogami natury i nie mieścił się w ściśle określonych, zawsze tych samych godzinach, przedszkole było dużą wyręką i pomocą.

Działało w osadzie Koło Gospodyń i prowadziło na co dzień bardzo ożywioną działalność. Przedmiotem rozmów i dyskusji były nie tylko sprawy gospodarcze czy poradnictwo. Omawiano także aktualne wydarzenia i potrzeby poszczególnych osadników.

Odbywały się także zebrania osadników, zwoływane przez sołtysa, którego wybierano na walnych zebraniach. W czasie kiedy tę funkcję sprawował nasz ojciec, obowiązkiem moim było powiadamianie wszystkich o terminie i o miejscu zebrania. Zebrania odbywały się te najczęściej w domu sołtysa lub któregokolwiek z osadników. Z racji mych funkcji przy organizowaniu zebrań nazywano mnie żartobliwie zastępcą sołtysa. Wyniki dyskusji i wszelkie ustalenia, plany oraz potrzeby gospodarcze osady przekazywane były do gminy w Klecku.

Odbywały się także, okazyjnie organizowane odwiedziny sąsiedzkie. Spotkania te miały miejsce z okazji świąt lub uroczystości rodzinnych. Ta spontaniczna i towarzyska aktywność wyrabiała w nas poczucie solidarności oraz wrażliwość na kłopoty i potrzeby każdego z osadników. Gdy zachodziła potrzeba, zawsze znalazł się czas na odwiedzanie chorych i udzielanie pomocy potrzebującym. Charakter osadniczego życia sprawiał, że była naturalna potrzeba wspólnych spotkań czy to społecznych, czy towarzyskich.

Nasze życie rozwijało się aktywnie i harmonijnie aż do września 1939 roku. W niedalekiej przyszłości czekała nas syberyjska zsyłka – zimna, głodna i nieludzka. Ta część naszych losów, to oddzielna karta wspomnień. Tam, w syberyjskich otchłaniach, poznaliśmy co to głód, zimno, nieludzkie traktowanie i ciężka, niewolnicza praca. Dziesiątkowały nas choroby, zimno i głód, prześladowało NKWD. Życie ludzkie było warte tyle co nic. Ta nieludzka dola, połączona z ciężką fizyczną pracą przy wyrębie lasu i spławianiu drzewa, uświadomiła nam z wielka mocą, jak bezgraniczna jest różnica pomiędzy tym, co zostawiliśmy w ojczyźnie i naszej osadzie, a tym czego zaznaliśmy na tej nieludzkiej ziemi.

Kiedy w wyniku napaści Niemiec na Sowiety ogłoszono „amnestię", wstąpiła w nas nadzieja i chęć do życia. Dowiedzieliśmy się, że na południu Rosji, w dalekim Kazachstanie, organizuje się wojsko polskie. Tam też skierowaliśmy się z całą rodziną i tłumami uchodźców ze wszystkich zakątków Rosji, w nadziei zaciągnięcia się do polskiego wojska i wydostania na wolność. Nie wszystkim jednak dane było to szczęście. Tysiące z nas padło z głodu, zimna i chorób. Ogromnej masie zesłańców nie udało się w ogóle wydostać z Sowietów. Za nami, którym udało się dotrzeć do Kazachstanu, pozostały dwa lata syberyjskiej zsyłki. Nowe przeznaczenie pędziło nas już w mundurach, w inne strony świata i ku innym żołnierskim losom.

Rodzice moi wraz ze starszą siostrą Ireną dostali się do Włoch, gdzie przeszli całą kampanię 2 Korpusu. Ja, oraz najmłodszy z nas Henryk znaleźliśmy się w Anglii. Henryk dostał się do formacji kadeckich. Mnie z grupą koleżanek wcielono do organizującego się w Szkocji 1 Korpusu Wojska Polskiego.

Po pięcioletniej służbie w formacji Pomocniczej Służby Kobiet osiadłam w Anglii, gdzie mieszkałam do 1983 roku. Po śmierci męża wyjechałam na stałe do Kanady, aby połączyć się z resztą rodziny, która po dziesięcioletnim pobycie w Argentynie znalazła się w tym kraju. Rodzice nasi zmarli i pochowani są we wspólnym, żołnierskim grobie na wojskowym cmentarzu w Montrealu. W ubiegłym, 2001 roku zmarli jedno po drugim – najmłodszy z nas Henryk i starsza moja siostra Irena. Pochowani są nieopodal siebie na tym samym co rodzice cmentarzu wojskowym. Z całej mojej rodziny zostałam już tylko ja jedna.

Spisane i uzupełnione w lipcu 2002 roku – Helena Derwich z d. Ćwirko